

niepokoje Anny Livii

Rozmawiamy z Teresą Sawicką

Teresa Sawicka jest aktorką Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Zadebiutowała w „Kochankach piekła” Rymkiewicza, potem zagrała m.in. w „Kartotece” i „Białym małżeństwie” Różewicza w Teatrze Narodowym. Od roku 1976 pracuje we Wrocławiu w teatrze kierowanym przez Kazimierza Brauna. Na początek zagrała rolę tytułową w „Annie Livii” Macieja Słomczyńskiego; z jej późniejszych prac warto wymienić role w „Odejsiu Glodomora” Różewicza, „Operetce” Gombrowicza, „Jego małej dziewczynki” Karpowicza.

Wrocławską pierwszą rolą w niecodziennym przedstawieniu sztuki napisanej przez znakomitego tłumacza według utworów tłumaczonego przezeń Jamesa Joyce'a, objawiła widowni i krytyce aktorkę dojrzałą, o dużych umiejętnościach tworzenia postaci teatru poetyckiego. Rola ta była jej sukcesem, na pewno też drugim debiutem artystycznym, po którym przyszły nowe, różnorodne zadania aktorskie.

Czy jednak sukces u progu drogi artystycznej może być gwarancją dalszego pomyślnego rozwoju aktora, muzyka, zresztą każdego młodego człowieka rozpoczynającego aktywne życie zawodowe? Jest raczej darem, który trzeba umieć później przetwarzać.

– Często się pani zakochuje?
– Oj, tak...
– Zaczęłam w ten sposób, ponieważ wydaje mi się, że Anna Livia to rola, której osoba niewrażliwa po prostu nie zrozumie, nie poczuje i z sukcesem nie stworzy na scenie.
– Chyba tak...
– Annę Livię gra pani od dwu sezonów. Jak się pani czuje powtarzając już ponad sto razy rolę wymagającą nie tylko wielkiej szczerości, ale i koncentracji, skupienia sił po to, by przekazać coś z ciemnych znaczeń Joyce'a? Jak życie wpływa na kształt Anny Livii?

– Annę Livię gra mi się najlepiej, gdy znajduję się w stanie jakiejś szczególnej emocji. Może dlatego, że dostarcza ona aktorowi wiele materiału do przetworzenia na scenie. Gdy jestem spokojna i zadowolona, to z roli coś ucieka, czuję to. A gdy istnieje we mnie napięcie, na scenie mogę je z siebie wyrzucić. Rola rodzi się z niepokoju. Choć oczywiście zależy to od granej postaci. W „Operetce” lepiej, gdy jako księżna Himalaj jestem swobodna, jest mi dobrze i mogę sobie myśleć o „boskim idiotyzmie” wszystkiego, co mnie otacza. Anna Livia wymaga zupełnie innego podejścia. Bardzo intuicyjnego. Choć rzecz jasna, zrozumienie jej nie może też obyć się bez refleksji.

– A czy miewa pani takie chwile w czasie przedstawienia, gdy nagle spostrzega niedostatki roli?

– Są to bardzo przykre chwile., Wydaje mi się, że każdy aktor je przeżywa. Są takie dni i nie wiadomo, od czego zależą. Skutki tego bywają zwykle fatalne, więc lepiej w czasie pracy unikać patrzenia z boku na siebie.

– Czy spojrzenie z boku na swoje miejsce w teatrze zdecydowało o tym, że odeszła pani z Teatru Narodowego do wrocławskiego Współczesnego?

– Pewnie tak. Ale swoich doświadczeń warszawskich nie żałuję, choćby dlatego, że zaraz po studiach miałam okazję współpracować z czołowymi naszymi aktorami i reżyserami. Przyszłam do Warszawy przekonana, że jestem najlepsza. Na debiut zagrałam główną rolę i okazało się, że znaczący on niewiele. I wtedy zgubiłam się. To znaczy, zgubiłam się wcześniej, gdy poddałam się bez reszty indywidualności reżysera, a nie walczyłam o swoją.

– A więc nie uznaje pani takiej postawy, która dla wielu jest symbolem profesjonalności: wykonać porządnie postawione zadanie i nie myśleć o nim więcej.

– Wolę nie wykonać go w ogóle, niż podchodzić do niego tylko zewnętrznie, na zimno. To, co robię na scenie, musi wynikać całkowicie ze mnie.

– Czy praca we Wrocławiu pozwala realizować się w taki sposób?

– Na pewno. Poza tym zetknęłam się tu z ludźmi, których – być może – nie miałabym okazji poznać gdzie in-

dziej. Słomczyński, Różewicz, Kajzar. Wspaniali twórcy i ciekawi ludzie, od których wiele się nauczyłam. Na przykład spotkanie z Kajzarem pozwoliło mi poznać zupełnie inny sposób reżyserowania. U niego nie efekt ostateczny jest najważniejszy, lecz sposób dochodzenia do niego. Aktor dostaje szansę pełnego współtworzenia i jeżeli umie z tej szansy skorzystać – wygrywa. No i oczywiście spotkanie z Braunem, za którego namową przeniósłam się do Wrocławia.

– Ostatnio z Bogusławem Kiercem gra pani, nie – złe słowo – uczestniczy w czymś w rodzaju psychodramy powstałej na kanwie „Jego małej dziewczynki” Tymoteusza Karpowicza. Myślę, że jest to dla pani doświadczenie zupełnie innego rodzaju niż role w „Annie Livii”, „Operetce” czy „Odejsiu Glodomora”.

– To była ciekawa praca. Świetny pomysł miał reżyser Jacek Weksler zapraszając do współpracy psychologa. Wspólnie doszukiwaliśmy się w sytuacjach scenicznych odniesień do naszych prawdziwych reakcji. Ja, na przykład, uświadomiłam sobie wiele spraw dotyczących mego charakteru, spraw, których sobie dotąd w pełni nie uświadamiałam. Była to sytuacja cenna, bo jeśli się jest aktorem, to trzeba egoistycznie myśleć o sobie. Zastanawiać się nad sobą i usiłować odpowiedzieć na pytanie, jakim się jest naprawdę. Bardzo się cieszę z przegody z „Małą dziewczynką” również i z tego powodu, że wszystko w tej pracy, od początku do końca, było uczciwe, a nie tworzone na efekt.

– Zastanawiam się czasami, w którą stronę będzie ewoluowała pani sztuka...

– Wydaje mi się, że zaczęłam od końca. Od ról, nad którymi pracowałam głównie intuicyjnie. Uważam, że nadszedł czas, by popracować nad tzw. techniką. Nareszcie dojrzałam do tego, żeby zacząć doskonalić elementy podstawowe, nie lekceważyć ich. Usunąć całkowicie bariery, które nie pozwalają mi się zmierzyć z zadaniami o wiele trudniejszymi niż dotychczasowe. Chcę również lepiej poznać możliwości teatru. I swoje. A poza tym uważam, że od nas, aktorów, za mało się dziś w teatrze wymaga.

– Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że rozmawiam z kimś, dla kogo teatr jest, jak to się patetycznie mówi – wszystkim. Taka zachłanność w szukaniu spełnień teatralnych musi się jakoś odbijać w życiu.



W roli księżny Himalaj w „Operetce” Witolda Gombrowicza.

– Tak. I to mnie martwi. Chciałabym mieć dom, dziecko, nie – troje dzieci. Ale niepokoi mnie to, że teatralny egoizm przeniósłam w życie. Myślę też, że gdybym miała dom, to może przestałabym pracować w teatrze. Bo ten dom i dzieci powinny być najlepsze na świecie. Nie umiem działać połowicznie. Albo – albo.

– A z czego ta postawa może wynikać?

– Staram się być konsekwentna. W teatrze przede wszystkim. I dlatego teatr przynosi mi moje życie.

– I dlatego rodzą się różne konflikty. Jak pogodzić sztukę z życiem, Anno Livio? – różni różnie o tym mówią. A czego najbardziej pragnie pani w teatrze, i w życiu?

– Postępować zawsze zgodnie z własnym przekonaniem. Kilka razy w życiu zdarzyło mi się postąpić wbrew sobie i chociaż w oczach innych zyskałam, to we własnych straciłam niepomiernie więcej. I mam kaca moralnego do tej pory. W teatrze? Nie muszę grać pięciu wielkich ról w sezonie, bo wbrew wszelkim pozorom to nie rozwija, lecz wręcz przeciwnie. Wolę grać rzadziej, ale takie role, które mnie naprawdę interesują.

Rozmawiał
KRZYSZTOF SIELICKI

Anna Livia w sztuce Macieja Słomczyńskiego.

